

HANS CHRISTIAN
ANDERSEN
Baśnie



Z duńskiego przełożyła
BOGUSŁAWA SOCHAŃSKA

Ilustrował
FLEMMING B. JEPPESEN

MEDIA RODZINA

Tytuł oryginału
H.C. Andersen EVENTYR

Copyright © 2005 by Gyldendal
Illustrations copyright © 2005 by Flemming B. Jeppesen
Copyright © 2005 for the Polish translation by Bogusława Sochańska
Copyright © 2005 for the Polish edition by Media Rodzina

Na s. 5 zamieszczono reprodukcję portretu H.Ch. Andersena
wykonanego przez C.Ch. Vogela von Vogelsteina

Projekt okładki i opracowanie typograficzne
Jacek Grześkowiak

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentu książki
— z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych —
możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody Wydawcy.

ISBN 978-83-8265-297-0

Media Rodzina Sp. z o.o.
ul. Pasieka 24, 61-657 Poznań
tel. 061 827 08 50
wydawnictwo@mediarodzina.com.pl

Skład
Scriptor

Druk i oprawa
Edica

Media Rodzina popiera ścisłą ochronę praw autorskich.
Prawo autorskie pobudza różnorodność, napędza kreatywność,
promuje wolność słowa, przyczynia się do tworzenia żywej
kultury. Dziękujemy, że przestrzegasz praw autorskich,
nabywasz książki legalnie i nie udostępniasz ich publicznie,
np. w Internecie. Dziękujemy za to, że w ten sposób wspierasz
autorów i pozwalasz wydawcom nadal publikować ich książki.



Wydano w **200**-lecie urodzin

**HANSA CHRISTIANA
ANDERSENA**



Dzwon

Wieczorem, kiedy zachodziło słońce, a w górze między kominami lśniły jak złoto chmury, w wąskich uliczkach wielkiego miasta co rusz to ktoś słyszał dziwny odgłos, niby brzmienie kościelnego dzwonu, ale tylko przez chwilę, bo turkotały wozy i ludzie krzyczeli, a to wszystko zagłusza.

— Dzwoni wieczorny dzwon. Zachodzi słońce — mówili ludzie.

Ci, którzy wychodzili za miasto, gdzie daleko jeden od drugiego stały domy otoczone ogrodami i poletkami, oglądali wieczorne niebo jeszcze wspanialsze i dużo lepiej słyszeli brzmienie dzwonu, jakby jego dźwięk dochodził z kościoła w głębi cichego, pachnącego lasu; patrzyli w tym kierunku i ogarniał ich uroczysty nastrój.

Minęło dużo czasu, ludzie często mówili jeden do drugiego:

— Czy w lesie jest jakiś kościół? Ten dzwon ma taki dziwny, cudny dźwięk, może byśmy tam poszli i obejrzeni go z bliska? — I bogaci jechali, a biedni szli pieszo, ale droga tak bardzo im się dłużyła, że gdy już minęli wiele rosnących na skraju lasu wierzb, siadali, spoglądali w górę na rozłożyste gałęzie i uznawali, że są już na łonie natury. Przyszedł też z miasta cukiernik, rozbił swój namiot i powiesił tuż nad nim dzwonek, i to posmołowany, żeby mu nie zaszkodził deszcz, ale w dzwonku brakowało serca. A kiedy ludzie wrócili do domu, mówili, że było nadzwyczaj romantycznie, a to znaczy, że podobało im się o wiele bardziej niż na herbatkach u znajomych. Trzy osoby zapewniały, że były aż hen, gdzie las się kończy i przez cały czas słyszały ten dziwny dzwon, ale tam zdawało im się, że dźwięk dochodzi z miasta.

Jeden z nich napisał o tym nawet piosenkę, powiedział, że dzwon brzmi jak głos matki mówiącej do kochanego, mądrego dziecka. Nie było piękniejszej melodii od brzmienia dzwonu.

Zainteresował się tym również cesarz tego kraju i obiecał, że ten, komu uda się odkryć, skąd dochodzi głos, otrzyma tytuł Dzwonnika Świata, i to nawet jeśli dzwonnikiem nie jest.

Teraz wielu ludzi chodziło do lasu, bo taki tytuł oznaczał porządną kawalek chleba, ale tylko jeden wrócił do domu z jakimś wyjaśnieniem, nikt nie zapuścił się głęboko, i on także nie; powiedział tylko, że dźwięki pochodzą od wielkiej sowy, która siedzi w zmurszałym drzewie. To taka sowa mądrości, w zapamiętaniu wałęsa głową w drzewo, ale czy dźwięk pochodzi z jej głowy, czy ze zmurszałego pnia, tego nie mógł jeszcze jednoznacznie stwierdzić. I został zatrudniony jako Dzwonnik Świata i co rok pisał małą rozprawkę na temat sowy; ale nic nowego to nie wносиło.

Nadszedł dzień konfirmacji, pastor wygłosił piękne i głębokie kazanie, konfirmanci byli bardzo wzruszeni; był to dla nich ważny dzień, z dzieci stawali się nagle dorosłymi ludźmi, dziecięca dusza miała zamieszkać teraz w bardziej rozumnej osobie. Była piękna słoneczna pogoda, konfirmanci poszli za miasto, a z lasu dochodził przedziwnie mocny głos tajemniczego dzwonu. Od razu nabrali wielkiej ochoty, by tam pójść, i to wszyscy z wyjątkiem trojga; jedna dziewczynka poszła do domu przymierzyć balową sukienkę, bo właśnie sukienka i bal były przyczyną, dla której przystąpiła do konfirmacji właśnie teraz — w przeciwnym razie zrobiłaby to kiedy indziej. Druga osoba to ubogi chłopiec, który pożyczył ubranie i buty od syna dozorczy i musiał je oddać o określonej godzinie. Trzeci powiedział, że nigdy nie chodzi w nieznanne miejsca bez rodziców, zawsze jest posłusznym dzieckiem i takim chce pozostać nawet po konfirmacji, i nie ma się z czego śmiać — ale i tak się z niego śmiali.

Więc trójka nie poszła, a pozostali wyruszyli; słońce świeciło, ptaki śpiewały, a dzieci trzymając się za ręce, śpiewały razem z nimi, bo przecież nie miały jeszcze stanowisk, przed Panem Bogiem były po prostu konfirmantami.

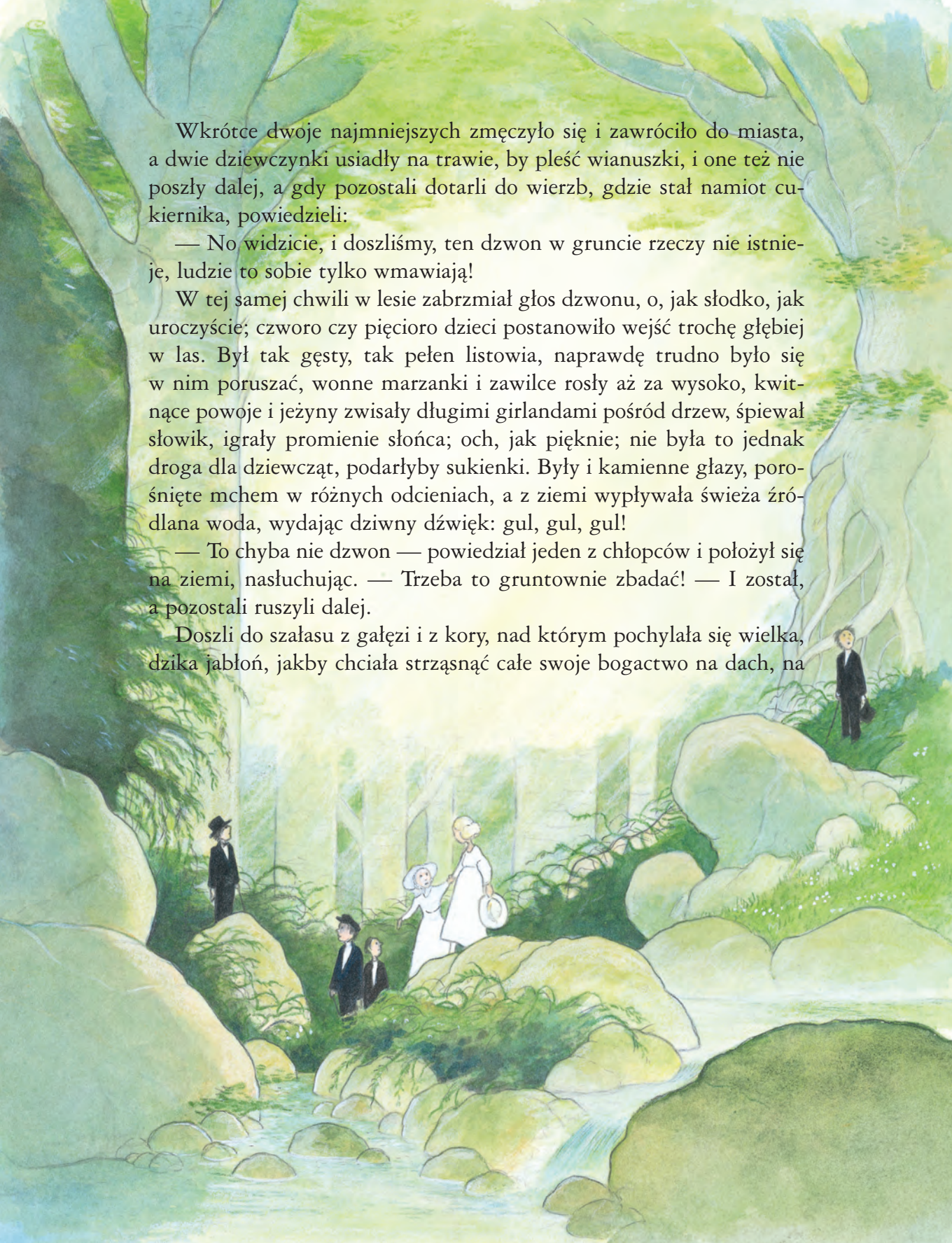
Wkrótce dwoje najmniejszych zmęczyło się i zawróciło do miasta, a dwie dziewczynki usiadły na trawie, by pleść wianuszki, i one też nie poszły dalej, a gdy pozostali dotarli do wierzb, gdzie stał namiot cukiernika, powiedzieli:

— No widzicie, i doszliśmy, ten dzwon w gruncie rzeczy nie istnieje, ludzie to sobie tylko wmawiają!

W tej samej chwili w lesie zabrzmiał głos dzwonu, o, jak słodko, jak uroczyście; czworo czy pięcioro dzieci postanowiło wejść trochę głębiej w las. Był tak gęsty, tak pełen listowia, naprawdę trudno było się w nim poruszać, wonne marzanki i zawilce rosły aż za wysoko, kwitnące powoje i jeżyny zwisały długimi girlandami pośród drzew, śpiewał słowik, igrały promienie słońca; och, jak pięknie; nie była to jednak droga dla dziewcząt, podarłyby sukienki. Były i kamienne głązy, porośnięte mchem w różnych odcieniach, a z ziemi wypływała świeża źródłana woda, wydając dziwny dźwięk: gul, gul, gul!

— To chyba nie dzwon — powiedział jeden z chłopców i położył się na ziemi, nasłuchując. — Trzeba to gruntownie zbadać! — I został, a pozostali ruszyli dalej.

Doszli do szalasu z gałęzi i z kory, nad którym pochylała się wielka, dzika jabłoń, jakby chciała strząsnąć całe swoje bogactwo na dach, na



którym kwitły róże; ich długie pędy okrywały szczyt dachu, z którego zwisał mały dzwoneczek. Czyżby to jego dźwięk było słyhać? Tak, z tym zgadzali się wszyscy chłopcy z wyjątkiem jednego. Powiedział on, że dzwonek jest za mały i zbyt delikatny, by jego głos dobiegał aż tam, gdzie oni go słyszeli, i że to całkiem inne tony tak przemawiają do ludzkich serc; chłopiec, który to mówił, był synem króla, więc pozostali orzekli: — Taki jak on zawsze wie lepiej!

I zostawili go samego, a w miarę jak szedł, jego pierś coraz bardziej wypełniało uczucie samotności, tak dojmujące w lesie; jeszcze słyszał dźwięk dzwoneczka, który tak się podobał reszcie, a od czasu do czasu, gdy wiatr przynosił zapach od cukiernika, dobiegały go dźwięki śpiewów przy herbacie; jednak głębokie uderzenia dzwonu brzmiały mocniej, jakby oprócz niego grały jeszcze organy. Dźwięk dochodził z lewej strony, tej, po której jest serce.

Nagle coś zaszeleściło w krzakach i przed królewskim synem stanął chłopiec w drewniakach i bluzie o tak krótkich rękawach, że łatwo było dostrzec, jakie ma długie nadgarstki. Znali się, był to właśnie ten spośród konfirmantów, który nie mógł pójść z wszystkimi, bo musiał zwrócić synowi stróża ubranie i buty. Zrobił to i przyszedł w drewniakach i w ubogim stroju sam, bo dzwon brzmiał tak mocno, tak głęboko, że musiał wyruszyć za jego głosem.

— Chodźmy razem — powiedział syn króla. Ale ubogi konfirmant był bardzo nieśmiały, obciągnął przykrótkie rękawy i powiedział, że boi się, że nie nadąży, poza tym uważał, że dzwonu trzeba szukać po prawej stronie, bo z tą stroną wiązało się wszystko, co wielkie i wspaniałe.

— No to się nie spotkamy — odparł syn króla i skinął mu głową, a chłopiec wszedł w najciemniejszą, najgęstsza część lasu, gdzie kolce rwały jego nędzne ubranie i do krwi raniły mu twarz, ręce i nogi. Królewski syn też nie uniknął paru solidnych zadrapań, ale jego drogę oświeślało słońce i to jemu będziemy teraz towarzyszyć, bo był z niego dzielny kawaler.

— Muszę znaleźć ten dzwon i znaleźć go! — powiedział. — Choćbym miał iść na koniec świata!

Na drzewach siedziały paskudne małpy i wyszczerzały zęby.



— Obrzućmy go czymś, obrzućmy, to królewski syn!

Ale on nieustraszenie szedł coraz głębiej i głębiej w las, gdzie rosły najprzedziwniejsze kwiaty, białe gwiazdziste lilie z krwistoczerwonymi pręcikami, błękitne jak niebo, migoczące na wietrze tulipany, i jabłonie, na których rosły jabłka wypisz, wymaluj jak wielkie, lśniąco mydlane bańki; pomyśl tylko, jakie musiały być te drzewa w świetle słońca! Wokół cudnych zielonych polan, gdzie jeleni bawi się w trawie z sarną, stały wspaniałe buki i dęby, a jeśli w którymś z drzew była szczelina, to rosła w niej trawa i długie pnącza; były też duże połacie lasu z cichymi jeziorkami, po których pływały szumiące skrzydłami białe łabędzie. Królewicz często się zatrzymywał i nasłuchiwał, przypuszczał, że dźwięk dzwonu dochodzi do niego z któregoś z tych głębokich jezior, ale w końcu zauważył, że to nie stamtąd, ale skądś jeszcze głębiej w lesie.

Wreszcie zaszło słońce, w powietrzu jarzyła się jak ogień czerwona poświata, w lesie zrobiło się cicho, bardzo cicho; królewicz osunął się na kolana, zaśpiewał wieczorny psalm i powiedział:

— Nigdy nie znajdę tego, czego szukam! Już zachód, zbliża się noc, ciemna noc, ale może będę mógł jeszcze raz zobaczyć okrągłe, czerwono-

ne słońce, zanim całkiem zanurzy się po drugiej stronie ziemi; wejdę na tamte skałki, sięgają wysoko jak najwyższe drzewa.

I chwycił się pnączy i korzeni, wspinał po mokrych kamieniach, gdzie pełzały zaskronce, gdzie jakby na niego ujadły żaby. Ale wszedł na górę, póki jeszcze można było stamtąd zobaczyć słońce, nim całkiem zajdzie; co za wspaniałość! Przed jego oczami rozciągało się morze, ogromne, wspaniałe morze, które przewalało ku brzegowi swoje wielkie fale, a słońce było jak wielki lśniący ołtarz tam, gdzie morze spotyka się z niebem; wszystko stapało się w rozżarzonych barwach, las śpiewał i morze śpiewało, i serce królewskiego syna śpiewało razem z nimi. Cała przyroda była jednym wielkim kościołem, w którym drzewa i chmury na niebie były kolumnami, kwiaty i trawa aksamitną tkaniną, a niebo ogromną kopułą. Czerwone barwy zgasły na nim, gdy słońce znikło, ale zapłonęły miliony gwiazd, iskrzyły się miliony diamentowych lamp i królewicz wyciągnął ramiona ku niebu, morzu i lasowi — i w tej samej chwili z prawej strony pojawił się ubogi chłopiec z przykrótkimi rękawami; przyszedł w tym samym czasie, swoją własną drogą, i wybiegli sobie na spotkanie, i trzymali się za ręce w wielkim kościele natury i poezji, a nad nimi brzmiał niewidoczny, święty dzwon i błogosławione duchy kołysały się w tańcu wokół niego, śpiewając radośnie alleluja!

